№ 5.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 28. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Przeciwko naszemu Księstwu Poznańskiemu podnoszą się często głosy, a to nawet w niém samém, że umie się tylko chełpić, ale nic ważniejszego nie robi. Zdarza się częstokroć ludziom, że nie podług istoty przedmiotu, ale podług istoty swojéj, to jest ze swego interesu rzeczy oceniać lubią. Są ludzie, którzy nic nie mają na myśli, ale tylko siebie samych, dla których każdy przedmiot jest źwierciadłem, we wszystkiem widzą tylko osobę swoją i o niéj tylko mówią, nadając téj mowie rozmaite postacie. Paradowanie ze swoim rozumem Kant w Antropologii podciągnął pod kategoryą egoizmu logicznego, ale możnaby egoizm na tyle podzielić rodzajów i gatunków, ile tylko na świecie jest zatrudnień i czynności ludzkich. Żołnierza egoizm polega na tém, że będzie sam miał co jeść, choć cała armia w głód wpadnie, że w zamięszaniu, na osobności będzie chaniebnie uciekał, a pod bokiem jenerała dla krzyża i awansu najwaleczniejszego udawał, rannego nieprzyjaciela dobije, a po rannych kollegach będzie deptał i żołnierski egoizm jest najdzikszy, bo też żołnierskie zatrudnienie, ma srogość z sobą spojoną. Czém będzie sędzia egoista, tego długo rozwijać nie potrzeba: potępi stronę, że ma do niéj urazę i że się dobrze broniła, że mu przeciwnik pochlebił lub zapłacił. Gospodarz, kupiec, fabrykant egoista każdego zdarł, podwładnych uciskał; literat egoista wszystko spotwarzy, co drudzy zrobią dla ogółu, a swoje i dla dobra swego dokonane podnosić będzie. Bez względu na różne rodzaje, całemu korpusowi egoistów jest to właściwém, że jeżeli nie są w pierwszym rzędzie znakomitości, kłaniają się urodzeniu, pieniądzom, władzy. Symbolem egoizmu jest zwierzątko skrzeczek, czyli chomik. Zwierzątko to żyje w norach, mało się pokazuje, nocą w swych torebkach wargowych znosi zboże na zapas tylko dla siebie, a skoro się dwa z nich zejdą, zawsze spotkanie walką krwawą oznaczą. Nasz Kluk powiada:*) „zwierzątko złośliwe i w obronie swojéj śmiałe.“ Ludzie chomiki skoro się trudnią literaturą, siedzą w norach swoich, nieznając prawie światła dziennego, niemając innego celu, jak gromadzenie zapasu dla siebie, niewiedząc co jest społeczność, bo tylko samotnie żyją, samotne znają stanowisko, zawsze są gotowe do walki przeciw każdemu i przeciw wszystkiemu, wszystko muszą ganić, w opinii gubić.

Księstwo Poznańskie dla tego, że ofiaruje fundusze na wychowanie trzystu młodzieńców po instytutach naukowych, że zakłada domy ochrony dla małych dzieci, że szkółki wiejskie staraniem osób prywatnych podnosi i w książki zaopatruje, że niezamożnym znakomitym autorom daje sposoby i porękę do wydawania ich dzieł, że w niém znaczna część właścicieli dóbr ziemskich, według oświadczenia w piśmie urzędnika, który separacyą kierował, z bezprzykładną życzliwością role włościanom oddawała, że wszelkie podatki komunalne, mogąc na lud żyjący z pracy, tylko na posiadaczów gruntowych rozkłada, że każdy bal, każdą zabawę, widowisko sceniczne, koncert i zgoła czego się jakie stowarzyszenie lub przypadkowe liczniejsze zgromadzenie dotknie, na cel ogólny i dobroczynny obraca, i to Księstwo Poznańskie, jeszcze musi słuchać wyrzutów, iż jest ciemne, bez dobréj chęci, egoistyczne. A to od kogo?

*) Zoologia, stron. 348.

Niemasz wątpienia, że choć stało się wiele dobrego, ludzie mogący kierować myślą i czynnościami drugich, mają obowiązek pobudzać do dalszego jeszcze działania, ale trzeba na drodze oddawania sprawiedliwości za to, co się już stało, na zasadzie miłości braterskiéj, przy zachęcaniu postępować. Kto wszystkich gani, ten musi być wyższym nad wszystkich. Młodzieńcom ze świeżemi licami uchodzi w literaturze zarozumiałość, bo któryż z nich niema się za tego, co to jest przeznaczony na zbawcę rodu ludzkiego. Wlała natura w młodość zarozumienie, bo zarozumienie od zapału nie dało się oddzielić, a zapał młodzieży był koniecznym dla człowieczeństwa. Młody nareszcie, skoro powstanie na wszystkich, to zawsze bez różnicy i może tylko ironiczny uśmiech obudzić, lecz człowiek dojrzały zawsze rodzaj wzgardy przeciw sobie oburza, bo kiedy jednych błotem obrzuca, to drugim przy stopach się łasi.

Sądzimy, że ta kruciuteńka uwaga niemająca żadnéj osoby na celu, lecz wywołana od niewłaściwych krytyk literackich, przyda się czytelnikom „Dziennika domowego“ na to, aby wiedzieli, że z charakteru, wieku i stanowiska autora krytyki, należy ocenić każdą krytykę.

Z notatek waryata.

(Dokończenie.)

VII.

Jest jeszcze cnota, i coraz jéj więcéj jest między ludem. Z pałaców możnych wygnana, pod skromną schroniła się strzechę — o lud jest wielki i cnotliwy! Cichy, a tyle w sercu jego miłości, że i swym panom przebaczyć zdolen, za tyle obelg i męczeństw. Pomnę, gdy mnie wszystko zawiodło, uratował mnie chłop, a ze serca tylko dobrego, nie dla jakichbądź widoków. Tułacz, nie mający nic prócz czystego serca, z pałaców pańskich wypychany byłem i wyszczuwany psami, a przytułek znalazłem w ubogiéj chacie. Nawet nie zapytał dobry chłopek wchodzącego mnie, kto jestem. Alem mu sam powiedział, iż zarobić sobie może dużo, wydając oprawcom ściganego — iż jeśli mnie przechowa, będzie chłostany i łżony za to, a ja niczém mu się odpłacić nie jestem w stanie. Zdziczałe od bolów i ciągłych zawodów serce życzyło prawie, żeby mnie zdradził, wydał ostatni człowiek, do którego się zbliżyłem. Ale jakież było przerażenie moje, kiedy się rzuca ku mnie — myślałem, że mnie chce związać, a ja się już miałem niebronić — ale nie, on mnie ściska.

— Jakto, nie odpychacie mnie ojcze?

— Ej, dobry człowieku, coś wam markotno na sercu — odrzekł gospodarz.

— A jakże niema być markotno — oto spojrzcie — dziury — i poszarpana suknia — psy mnie to dworskie tak oporządziły!

— Ha, panowie zawsze panami! Człeku, gdzie dużo fortuny, mało poczciwości. Zresztą, oni tam mądrzejsi, ale im nie zajrzę téj ich mądrości, kiedy nie po Bogu żyją!

— Oj mój ojcze, już też tam i nie wielka mądrość u nich.

— Nie! bo i nie! ale czego to na ludzi wam markotno, kiedy panowie dokuczają? żeście przemówili do człeka jak do poganina jakiego?

I ukrył mnie, a gdy go wójt gminy wziął pod baty, czy nie widział jakiego włóczęgi, i czy jak dworscy mówili, nie ukrywał go — ani krzyknął pod plagami, ani spomniał o mnie.

Ze łzami witałem zchłostanego, powracającego do ubogiéj chaty.

— No! tożby źle było, żeby już bólu człek niewytrzymał.

— Ale ja wam niezdolen wywdzięczyć!

— Ej, nie bajcie, lichy to człowiek, co kiedy daje, ogląda się na to, ile mu ztąd przyjdzie! Toć i żyd tak samo robi — i pan, kiedy dziadowi rzuci trzy grosze, rachuje, ile mu Pan Bóg w niebie odda! Już tam krucho z cnotą!

— Aleście bardzo — za mnie cierpieli!

— Ej, ból się tam już wytrzyma. Ale — gorzéj bolą — te obelgi, któremi nas w pałacach obdarzają! Oh! dobry człowieku, czemu też to Pan Bóg tym panom tak wszystko dobre daje?

— A cóż im tam tak dobrego?

— Żyją w dostatku!

— Tak, ale często i w niegodziwości!

— To prawda! to prawda — lepsza zła dola w biedzie, jak ich życie! Ale czemu to Pan Bóg tak lud swój poniewierać dozwala!

— O bo jeszcze! bo jeszcze mój ojcze! — ale przyjdzie chwila, gdzie lud cierpieć nie będzie — i nie będzie panów, ani chłopów, tylko ludzie. I wszyscy się kochać będą!

— Cóżby się zaś stało z panami?

— Zginą, którzy nie zechcą być ludźmi, a będą nad człowieczeństwo przenosić swój klejnot szlachecki, a którzy zechcą kochać wszystkich jak braci, ci będą kochani, i cały im się świat nowy cnoty i uczuć otworzy, którego dziś nieznają!

— Mówicie dobrze. Człowiek tak samo czuje!

I ściskał mnie, mój prawdziwy przyjaciel — ale kiedyż to tak będzie, dodał po chwili — czy prędko?

— To Bóg wie — ale będzie.

— O! żeby Bóg dał co prędzéj tę chwilę.

— Da ją, da ją pewno mój ojcze.

— A któżby znów tak dobrych czasów niechciał?!

— Zapewne — ale brak ludziom energii w pełnieniu cnoty i wiadomości, jak ją pełnić trzeba.

I znów padliśmy w objęcia, a przyciskając do mego łona to serce chłopskie, czułem, jaka to cnota w sercu polskich chłopów!

VIII.

Jest podanie ludu o niewieście, która uchodzi przed potworą, a wstążki z włosów to odplata i rzuca, z nich powstają rzeki, i rwie warkocze i rzuca, z nich las gęsty, i szarpie gorset, co jéj łona dotyka, i ogień powstaje z rzuconych kawałków czerwonego stroju, co bliskim był jéj wrzącego serca. Wszystko to rzuca, aby ścigającéj potworze tamować pogoń. Tchnienie tego podania w barwy cudu, opromienionego tworczą ludu wyobraźnią, owiewa mnie jeszcze od czasów, gdy mi je dla uśpienia śpiewała piastunka. Tylko, że urok prostoty znikł dla mnie z opowiedzi, a w słuchaniu jéj ta bezpośredniość i mara znikła, z jaką gadki niegdyś słuchałem dzieckiem będąc. O ileż to wiary i fantazyi w dziecku. Niejestże ono jak płyt, na którym świat cały i wszystek kapryśny wymysł niańki silnie się odbija! A te wrażenia nie stanowiąż o późniejszém życiu naszém. Owa gadka o téj niewieście uciekającéj, dowolnémże zmyśleniem! Przypadekże to, iż się ona w pamięci méj wybiła i długo — długo była przedmiotem pieszczot pamięci mojéj! Ta gadka zdaje mi się być symbolem mojego życia. Ja ze serca rwałem jedno po drugiém uczucie, aby téj potworze, co mnie pożera, zaporę stawić, aby się przed nią ochronić.

Ale któż odgadnie — żądają ofiary z uczuć, o których nikt w całym szerokim świecie niewie?

Któż powie, na co może być potrzebną myśl jednego nieszczęśliwego, że mu ją Bóg odbiera, i na cóż tam wzywa, a on szalony, biedny, w obliczu samego siebie upośledzony, zdaje się być w biegu świata piątem kołem!!

IX.

Jestem schwytany! okuty w grube żelaza, zamknięty w podziemiu ciemnem. Sklepienia obrzękłe wilgocią, ciężą mi na piersiach i powietrze gęste cięży mi, jak zbrodniarzowi sumienie. Gdy się ruszę, brzęczą kajdany, i ledwie kroków zrobię parę, wstrzymuje mnie łańcuch. Ach mój świat taki ciasny, ale jeszcze ciaśniejsze koło myśli moich, bo jedna z nich tylko przelatuje ciągle nademną. A nie jest to myśl Boga wielka, nie jest to anioł dziewica, który co chwilaby mi nową tęczę ze skrzydła swego lśniącego barwami mnogiemi upuścił, i natchnął i rozradował mnie. Nie! Nie! Ta myśl tylko jedna, którą mam w całym szerokim świecie, to jest jakieś brzydkie widmo, okute w kajdany, i blade, głowę ma spuszczoną na piersi. Ale to jednak nie jest człowiek, tylko widmo, bo ono oczy podnosi ku mnie i patrzy... patrzy. O! człowiek niema takich oczu! i człowiek okuty! Ach nie, choćby nawet za sprzedanie za pieniądz swojéj poczciwości. Nie jeszcze, by tak patrzyć niemógł, bo te oczy są zupełnie martwe, bez wyrazu nieme. Wyglądają, jak otchłań bez końca, jak przepaść bez dna, jak ciemna postać nieskończonności, wśród któréj nie zabrzaśnie dzionek kresu żadnego.

Te oczy mówią mi ciągle: Więzienie na wieki!

Czy to nie dosyć, nie jestże to najokropniejsza męczarnia! Na wieki więzienie bez żadnéj przerwy, bez żadnéj odmiany! Nawet ból nie ulituje się, nie zestąpi na chwilę przerwać mi ciągłéj jednostajności, ciągłego trwania nocy w koło mnie i w myśli méj. Czemuż to ludzie inaczéj sobie piekło wystawili. Gdy mnie ogień palić będzie, lub ból jaki mnie kolwiek ciało rozszarpywać, lub myśl trwożyć marą przyszłości, albo widokiem obcych cierpień, lub własną mi nikczemność na pamięć przywiedzie! O! wtenczas będę cierpiał, ale ból to mocniejszy coraz, to coraz różny będzie, ale mary różnie myśl ranić będą, i da chwilę wytchnienia sama rozmaitość męczeństw. Ale tu! wiecznie to samo! — wieczne konanie! — jedna myśl, jednostajny ból ciągle. O ludzie tak złym szatana nawet wymarzyć nie mogli, aby wieczne zadawał więzienie. Wszystkie inne przypisywali mu srogości, ale nie tę najokropniejszą.

Mówią, że umrę!! Dziwni ludzie! ja wiem, że jestem nieśmiertelny! Mówią, że ja rok tylko pożyję! Dziwni ludzie! Chcą na swój łokieć moje mierzyć cier-

pienia, oni nazywają to rokiem, ja to zowię wiecznością. Kłócimy się o słowa! Ja ni dnia, ni nocy w téj ciemnicy rozróżnić nie zdołam! Ani z dalekiéj wieży zegaru bicie, ani mnie śpiew ptaków, ani uliczny gwar nie dojdzie. Jakże ja porachuję chwilę, albo dnie? dla mnie jedna chwila wiecznością, bo zapełniona jak i następna jedną tylko myślą, uwięzionym na wieki, a gdy chwila wiecznością, czemże dzień? tydzień, miesiąc! i oni mnie pocieszają, że za rok umrę! jakby męczennikowi w piekle mówili, że tylko wiecznie, ale nie dłużéj cierpieć będzie! To téż to dziwny wymysł ludzi to piekło! Ach wróbli słomiany wiecheć wystrasza!

Ha! Ha! Wróble! zabawne to ptaszki. Na jednę maskaradę, kiedym był wolny, przebrałem się za wróbla! Było to w niedzielę. Nie miałem pieniędzy. W kawalerskim stanie nic to dziwnego, ale dziś, kiedy mi wyszła ostatnia złotówka, dziś byłaby mi się najwięcéj przydała! Trzecia maskarada! a ja nadewszystko lubię maskaradę. Co to począć! Kusa rada, więc już ósma wieczór, a ja jeszcze bez obiadu i bez czterech złotych potrzebnych na bilet. A tu jak na złość sanki pędzą, wymijają się i dzwonią raz wraz, a chłopaki z pączkami na całe gardło wrzeszczą:

Panowie! panie!
Mam pączki tanie,
Para trzy grosze,
Kupujcie proszę!

Nagle myśl mnie olbrzymia oświeca. Choć sam jeden byłem w swoim poddaszu, nie mówię nic do siebie, wbrew zwyczajów wielkich mężów w komedyach i tragedyach. Chwytam nożyce, tekturę, igłę, nitkę! Gdyby mnie był kto widział, myślałby, żem owaryjował, tak jak ja raz pomyślałem o pewnym Towiańczyku. Bo proszę państwa, sądźcie sami, pytam go, co to jest Towiańszczyzna, on na to, uwierz, ja w ubóstwie ducha pytam, a czemu, lub w co uwierzyć, a on mnie ofuknie, uwierz, a dowiesz się w co, i czemu i będziesz Towiańczykiem! No więc to wyobrażenie przechodzi, aby uwierzyć, a niewiedzieć w co! Więc wystrzygam dziób, głowę wróblą, piórka, zeszywam i w godzinę przywdziewam kaptur z tektury, mający mnie maskować za wróbla. Niewiem czy ja tam byłem bardzo do wróbla podobny, ale przy dobrych chęciach można wszystko widzieć, nawet tego, czego niema, np. monarchizm w Polsce dawnéj, zasługę w tém, że czyj ojciec był szlachcicem, w p. M. Grabowskim wielkiego krytyka, a w Jaroszu Bejle, Polaka! Więc czemu też przy dobréj wierze nie miałby ktoś w moim kapturze miał niewidzieć podobieństwa do wróbla. Tak wystrojony biegnę do kassy. Było już koło dziesiątéj, sale zaczynają się napełniać. Proszę pana kassyera o bilet. Byłby mi on go dał przez grzeczność darmo, bylem ja mu także przez grzeczność dał cztery złote darmo, ale ich nie miałem!! Więc z góry.

— Panie, ja za bilet nie zapłacę.

— To nie wejdziesz pan do sali.

— Tak, nie wejdę, ale wlecę.

Ha! Ha! — a to jak? bez biletu.

— Panie, na afiszu czytałem cena wnijścia cztery złote, ja wróbel mogę wlecieć, a za tę sztukę muszę bez płatnie wlecić. Kassyer się rozśmiał. Kazał drzwi otworzyć, mówiąc, że ta awanturka warta być w „Kuryerze“, a za honoraryum, warto dać bilet na maskaradę, boć to ładny przedmiot do artykuliku w Kryerze warszawskim! A jak się to będą śmiali!

Gdym nazajutrz przyniósł kassyerowi pieniądze za zakredytowany bilet. No, rzekł — tak poczciwego wróbla pierwszy raz widzę!

Wchodzę. Ach świecie masek, jakiś ty uroczy! jaki tu gwar, ścisk, wirowanie! pytają się, biegają, tłoczą, śmieją, śpiewają, a muzyka to smutnego walca, to raźnego rznie mazura!

Jaki tu świat inny. Świat ciemnego więzienia. Maskarada życia człowieka. Przebrałem się w kajdany! ażeby mnie nie poznano! mnie, com chodził po wolnym świecie, po słońcu, co blask ożywczy rzucało na ziemię, przykryłem się dominem sklepień więziennych!!! A bawić się! bawić się! Ach, pytać, zaczepiać maski, ale gdzie? kogo? Moje domino tak mnie przytłacza, nie da mi się ruszyć, ani oddychać!!!

Czyż cały świat nie jest maskaradą? Ach! ludzie nigdy własnego nie chcą nam ukazać oblicza! zawsze maski, i wszędzie maski! O! dobrze pamiętam, było na téj saméj maskaradzie, — ja się tak wesoło bawiłem, tak serdecznie! O! niemiałem nic innego, jak tylko zabawkę na myśli!! I oto spostrzegłem jakąś kobietę, ach piękna, anielska była, z pół maski widziałem dobrze jéj oblicze, zbliżam się.—Czy mnie nie znasz maseczko? zapytam.

— O znam cię, i dobrze!

— Któż ja jestem? — napiszże mi na ręku jak się zowię? albo powiedz?

— Ty jesteś dobry człowiek, możesz być kiedyś poczciwym, ale dziś jesteś wietrznikiem, zabawy tylko szukasz, wesołości i roskoszy?

— A cóż nad to może być w życiu milszego? cóż lepiéj dogadzać nam!

— Działać dla spółbraci z rzetelném poświęceniem — inaczéj jesteś nikczemnym!

I znikła wśród tłumu. O! musiał to być mój anioł zesłany z nieba, aby mi szranki życia otworzyć. Już mi tylko jedno słowo brzmiało w duszy i umyśle, działaj dla spółbraci — działaj dla spółbraci i choćby krok każdy życia był ci wiecznością męczeństw odpłacony! I zacząłem przecież żyć! O, jak tu maskarad kochać niemam, maskarada w życie mnie wprowadziła. A to życie ciągłym bólem było! O! jak ja szczęśliwy — ja cierpię za spółbraci! Oto mnie ludzie takiemi przywalili męczeństwy, żem myśl stracił, że waryjuję, ale wszystkę boleść swoję błogosławię, i z niéj szczęśliwym, i choćby stokroć okropniejszą była, błogosławiłbym ją jeszcze!

* * *

Jedném mojém szczęściem jest, kiedy sobie śpiewam, ach zawsze téż sobie śpiewam, a jakie ładne piosnki — tak śliczne, jak trefniś w czapeczce z dzwonkami!

Moje życie! moje życie!
To złudzenie czcze;
Próżno ludzie mnie więzicie,
Ja wam wydrę wasze życie,
Schwycę w przemoc noc!
Dzielną myśl zestrzelę w grom,
Zerwę więzy, strzaskam pęta,
Wolność mi wybłyśnie święta,
A wam grób i srom!?

* * *

Zdaje mi się, że ja jestem z kamienia wyciosany. Czy téż to może być prawda?! gdy się chcę ruszyć, śmieją się zemnie moje ręce i nogi, i wyrzucają mi słabą pamięć, że ja jestem kamieniem, a nie człowiekiem przypominają. Ale przecież kamień niemoże nic myśleć? I ja nie myślę! i ileż tu ludzi nie myśli i twardsi są od głazów!!

* * *

Jest to jednak okropną męczarnią, mieć takie przywidzenia jak ja, zdaje mi się, że mam żonę, że tę żonę kocham całą mocą duszy, a ona oto w objęciach innego rozkoszuje. I po balach z nim jeździ, i bawi się, gdy ja tu więziony, zamknięty, nie mogę wyjrzyć na świat. I dziecko moje już zapomniało o mnie i obcego jak ojca kocha, oduczyła je matka od wymawiania mojego imienia! Aleć to mi się chyba zdaje. Ja żony nigdy nie miałem!

* * *

— Jesteś skazany na śmierć — zagrzmiał wchodzący oficer!

— Zbawco dzięki ci, dzięki, — ze śmiercią przynosisz mi koniec męki.

— Za toś skazany na śmierć, że w więzieniu śpiewasz. — Oto wyrok. Gubernator spać nie może od twego przeklętego głosu, dręczy go twój śpiew jak sumienie, zawyrokował, że ty o zbrodni przemyślasz, że ją do skutku doprowadziłeś.

— Umrę! Umrę! — Będę śpiewał, będę szalał.

— Nie smuć się, zostaniesz ułaskawiony, darują ci życie!

— I znów mam jęczyć bez końca w więzieniu! O! nic ze mnie nie zdoła zerwać przeklęstwa? — nic — i nigdy!

— Nie bluźnij, gdy Bóg ziemię ogniem i żelazem zbawi, jak dawniéj potopem, z kałuży podłości i tobie brzask z martwych powstania wykwitnie, tylko oby ludzie zrozumieli, że nie gnuśnie czekać dnia sądu potrzeba.

* * *

— Czy to już koniec!

— Tak przecież, pewnie pani znudzona!

— Byłożby to nie grzecznie się przyznać, ale jak też można drukować takie powiastki bez końca. — No cóż się z tym więźniem stało. — Czy został ułaskawiony?

— Ja tego nie wiem — te kilka stronnic, któreś pani czytała, zebrane były z notatek w jego pugilaresie. On cierpiał pomięszanie zmysłów. On nawet nie musiał być w więzieniu istotnie, boćby niemógł pisać.... Ale obłąkanemu Bóg wie nie co się wydawać może, a spisanie kilku wrażeń nawet oderwanych, daje obraz duszy.

— Tylko mu pani nie wierz — dodał ktoś z boku, te notatki są podrobione.

Miłość własna i poświęcenie.

(Dokończenie.)

Poznaliśmy miłość własną w rozmaitych kierunkach społecznego i familijnego życia. Występuje ona tam tak widocznie, tak jawnie odgranicza prawa sobie należne i obowiązki względem siebie, od praw i obowiązków względem innych ludzi i względem kraju, że nie potrzeba całkiem osobnych ku temu poznak, coby ją od poświęcenia, z którém niema nic wspólnego, wyróżniały.

Atoli jest jeszcze inny gatunek miłości własnéj, która się płaszczem poświęcenia okrywa, a rzeczywiście swoich, samolubnych dopina celów. Stronnictwa wszelakie, by też nawet zguby kraju swego pragnęły, zawsze jednak wywieszą sztandar z napisem „wolność i poświęcenie.“ Czartoryjscy za ostatniego Sasa rozsiewali nieukontentowanie, knowali zmowy, aby pozbyć się obcego i niedołężnego króla, wchodzili w układy z ościennėm mocarstwem na wschodzie; następnie, gdy im August w sam czas umarł, na sejmie konwokacyjnym chcieli dobra rzeczypospolitéj, zniesienia veto, ograniczenia i poskromnienia szlachty, i ustalenia silnéj, dziedzicznéj władzy monarszéj; — a pod tém wszystkiém ukrywał się cel tajemny, samolubny, wyniesienia na tron jednego z siebie, ku czemu już rychło Poniatowskiego w charakterze sekretarza legacyi angielskiéj, wysyłali do Petersburga. Sama nawet Targowica idąca z wojskiem nieprzyjacielskiém na zatracenie konstytucyi trzeciego Maja, obwoływała uniwersałami, że się poświęca za wolność klejnotu szlacheckiego.

Co tu na wielką skalę, dzieje się wszędy na małą. Jak jedni chorują na pana, tak drudzy chorują na naczelnika, by też tylko garsztki podkomendnych. Znaczyć, to ambicya, któréj wszystko poświęcają. A że znaczyć tylko można w sprawach publicznych, więc godło téj sprawy nosić każą przed sobą, jak buńczuk przed bady-paszą, a gdy się nie znajdzie nikt na takiego chorążego, sami tym sztandarem potrząsają na wszystkie strony, aby każdy wiedział, widział i słyszał, i pokłonił się naczelnikowi.

Z mniejszą pretensyą są ci, którym tylko o to chodzi, by wiedziano, że się zaciągnęli do hufca obrońców sprawy publicznéj, i ci, którzy zdziaławszy rzeczywiście co dobrego, radziby, żeby o tém cały świat wiedział, mówił i uwielbiał. Pierwsi niepomni, że nieraz lepiéj być Cezarem, który dla tego tylko nie zwracał uwagi współzawodników, że występował w Rzymie pięknie ulokowany, z uśmiechem na uściech, z mową o rzeczach potocznych — napyrzają miny na Brutusów i Kassyuszów, zadumani głęboko, pełni tajemniczości, postronnych szeptów w obliczu świadków; gdziekolwiek się zaś odezwią, trzecie słowo będzie sprawa publiczna.

W niektórych przypadkach o ludziach wielo i tajemno-mównych, możnaby tylko zastósować bajkę Krasickiego, która pyta: „wiecie, dla czego dzwon głośny?“ — i odpowiedz: „dla tego, że próżny.“ Taka przechwałka skutków też ważnych za sobą nie pociąga, bo z próżnéj stodoły nie wyleci chyba wróbel. Ale niebezpieczna bywa taka szukana umyślnie wydatność osobom większéj wartości. Do wielu to trafia bajeczka „Komar i mucha“, którą, choć znaną powszechnie, nie zawadzi przytoczyć:

„Komar muchy tonącé mając widowisko,
Że nie wyżéj leciała, nad nią się użalił,
Gdy to mówił, wpadł w świecę i w ogniu się spalił.“

Tak nie jednemu piórka ogorzeją, co pod światło leci, jedynie w tym celu, aby w tém świetle piórka te zalśkniły się barwą, i by każdy podziwiał lot śmiały, chyży, niby orli.

Najmniejsza wina tych, co się w czynach spełnionych dla dobréj sprawy przeglądają tak chętnie, jak kochanek w źwierciedle, i coby tyle razy słyszeć o tym czynie radzi, ile razy tamten twarzyczkę swoją na dzień oglądać rad w pochlebném lusterku, które dla tego ze sobą po kieszeniach nosi. Niech tylko każdy co dobrego rzeczywiście zdziała, a darujemy mu chętnie to rozlubowanie się w opinii publicznéj, to naprowadzanie dyskursu zawsze na jednę materyą, to rozpowiadanie detaliczne swego poświęcenia. Można tylko o takim powiedzieć, odebrał już zapłatę, bo ją sam sobie wymierzył.

Nic z tém wspólnego niema poświęcenie, które jest jak modła pierwszych chrześcian, kryjących się w katakombach Rzymu, którym nie chodziło cale o to, aby ich łzy i uczucia i ich cnoty, świat i ludzie widzieli i podziwiali, ale aby je Bóg widział, Bóg wszystko widzący. Poświęcenie jest jak ofiara Abla, któréj dym prostym słupem wznosi się do nieba, a nie tumani się na wszystkie strony. Poświęcenie jest bez przechwałki, bez chęci zysku, znaczenia, lub jakiéjkolwiek nagrody, skromne, ciche zadowolenie w sobie, tak, że nie wie lewica, co czyni prawica. Poświęcenie nareszcie przypomina sobie zawsze wiersz Karpińskiego:

Choćby po twojém najlepszém dziele,
Zawsze o sobie mów mało;
Nie myśl jak dla mnie zrobiłeś wiele,
Lecz co ci zrobić zostało!

Do poznak, któremi wewnętrzne, czyste pobudki poświęcenia odróżnisz od tych, co z saméj miłości własnéj płyną, policzyć należy, przedewszystkiém badanie rozumu i serca. Całe życie człowieka jest najlepszym probierzem jego czynów, i daje miarę, jaką mierzyć je należy. Kto naprzykład lud uciska, służebnych poniewiera, jako niewolniki je traktuje, a powiada, że cnotę publiczną kocha, i rzeczywiście dla niéj poświęcenia czyni, tam niema poświęcenia, ale jest samolubstwo, płaszczyk gazowy na zdzierstwo poddanych. Kto jest złym synem rodziny, ojca starego z domu wygania, a matce przyczyną jest łez gorz-

kich i przeklęstw, kto źle wychodzi z rodzeństwem, krzywdząc je na majątku, albo wstydząc się za nie,— i głosi, że jest dobrym synem ojczyzny, i działa w tym charakterze — ten działa pozornie, i podejrzane jego poświęcenie. Kto nabył majątku krzywdą drugich, podstępem, przekupstwem wyprocessował, a teraz pan milionowy, lub kilkakroćstotysięczny, mieni się kolosem ojczyzny, napusza się, że daje składki i robi poświęcenia, i to tylko domino na balu maskowym, by pod tą maską nie poznać prawdziwego człowieka. Kto marnuje majątki, zbytkom się oddaje, w przepychu się kocha, pijaństwu i rozwiozłości wszelkiego rodzaju hołduje, a o poświęceniu prawi, choć tam czasem rzuci garść wygranego złota, to czcza przechwałka; niema tam fundamentu, bo niema cnoty. Uczciwego Heberta, kiedy stał na czele dyktatury podczas rewolucyi francuzkiéj, durzył dość długo Ronsin wraz z nim podzielający władzę, a raczéj menerstwo partyi. Tamten był republikanin czysty, surowy, ten energiczny, ale często się pijaństwu oddający. Gdy mu się zdarzyło przyjść w tym stanie do Heberta, rzucił się na krzesło, udawał rozjątrzonego to wiadomościami od armii, to przeniewierstwem niektórych ze stronnictwa, pienił się, wściekał, albo nic nie rzekłszy odszedł, i Hebert, powiadają Memoary o Robespierze, długo w nim widział zagorzałego Stoika. Tak nie jeden różną namiętnością pijany, nosi maskę stoicką, aby się z pod niéj słabość jego rzeczywista nie wykryła, i uwodzi nawet sprawiedliwych. Zdarzyło mi się słyszeć o zawiązaném towarzystwie wstrzemięźliwości, którego członkowie nim podpisali statuta, ostatni raz postanowili się upić. Co sądzić o poświęceniu tych członków?

Wytrwałość i odwaga bywają także znamionami poświęcenia. Wystalone umysły różną próbą szczęścia, zahartowane więzieniem i prześladowaniem, te, co tam nie upadły, ale urosły na duchu, do rzetelnych poświęceń; są gotowe. Kto ordzewiał w katuszach jaką bądź słabością, co zaoxydowała jego ducha, ten złamany na zawsze, i blask jego czynów pozorny.

Literatura.

W dwóch poprzednich No. Dziennika domowego, wspomnieliśmy o kilku dziełach wydanych w ostatnich latach. Naszym założeniem nie jest, jak to czytelniczki zapewne dostrzegły, rozbiór krytyczny, lecz tylko proste opowiedzenie treści, i wykazanie głównéj myśli autora, aby tym sposobem zwrócić uwagę na dzieła, mające wartość.

Rome Souterrain, par Charles Didier.

Lubo ta powieść nie należy do najnowszych, ale że jest jedną z ważniejszych wydanych w ostatnich latach, więc opowiemy myśl, na której osnowana. Jest to polityczny obraz Włoch między 1820. — 30., podciągnięty pod formę powieściową. Są tu wystawione stronnictwa, tlejące z wybuchów rewolucyi francuzkiéj — najważniejszą rolę gra karbonaryzm.

Kiedy prześladowano wolne-mularstwo, karbonaryzm rozwijał się skrycie z całą siłą młodzieńczą; rozciągał on się li na Włochy i dążył do połączenia wszystkich ich części pod formą republikancką. Papież miał pozostać władzą duchowną bez żadnéj świeckiéj. Przypominano sobie, że z początkim wieków średnich, papieża władza była sankcyonowaną przez lud, on był jego reprezentantem, bo ciskał klątwę na królów, a tym sposobem zarzucał hamulec na ich władzę.

Lecz kiedy papieże przybrali zasady monarchizmu, lud wylał swoją siłę przez luteranizm. Ale ta siła znów ujarzmiona przez kilka wieków, zbudziła się dopiero z rewolucyą francuzką, i stanęła w osobie Napoleona. Po jego zaś upadku podnosi się w młodych pokoleniach, a najpierwsze ognisko jéj życia rozpalił karbonaryzm. Na téj to podstawie niniejsza powieść jest osnowaną. Osoby najbardziéj wybijające w niéj są:

Marius, młody Rzymianin, silny duchem i z poświęceniem — miłość wolności wszystkie inne uczucia w nim wypaliła, ona mu była rodziną, kochanką. Był zdolnym poświęcić się i kochać, nie umiał jednak wznieść się aż do myśli przewodniczącéj ludzkości, dla tego złożył swoje życie na ołtarzu wolności bez korzyści.

Anzelm, drugi młodzieniec, był to jeniusz wieku — choć nadaremnie walczył z obecnością i poległ, ale myśl jego została, a następne pokolenia ją podejmą i wprowadzą w życie.

Kardynał Petrali, charakter silny i czas pojmujący. Dążenie całego jego życia, było wyniesienie się osobiste, a widząc, że najprostszą drogą do tego cnota, więc wszystko ubierał w cnotę. Nie uszanował sercem nikogo, bo świat cały zdawał mu się niższym od siebie — ale znalazłszy Anzelma, ocenił go i pokochał, jako duszą równego sobie. Jemu pierwszemu powierzył wypadki swego życia — był on prostym żołnierzem, komedyantem, a nakoniec wstąpił do klasztoru i wzrosł aż do godności kardynała.

Brancador, młody patrycyusz rzymski — z dobrém sercem, lecz wychowany w zepsuciu, niemiał nigdy hartu duszy. Zostaje on Karbonarym, lecz przez kochankę zdradzą konspiratorów, a potém chce zmyć tę hańbę zabiciem papieża, ale i do tego brakowało mu odwagi.

Anzelm widzi, że Włochy jeszcze tak niedojrzały, iżby lud był zdolny pochwycić należącą mu się władzę, nie wahał się więc przystąpić do Sanfedistów, aby się rządom przypatrzyć z bliska.

Sanfediści, był to związek dworów włoskich przeciw panowaniu cesarzów w tym kraju, ich zamiarem było części zostające pod rządem Austryi, podzielić między siebie. Równie nienawidzili Karbonarych, jak i Niemców. Między tych związkowych wprowadza Anzelma kardynał, a nawzajem wzywa jego pomocy jako naczelnika Karbonarych, żeby zostać papieżem. Anzelm podaje mu warunki, on je podpisuje — i łączą się te dwie silne wole, które miały zatrząść całemi Włochami.

Marius dla przykładu zabija Brancadora, owego patrycyusza, który zdradził sprawę; schwytany i skazany za to na śmierć. Kiedy Mariusa stawiono na rusztowaniu, lud rzymski zbudzony przez Anzelma, chwyta za broń. Bój się wszczął i wszystko szło po myśli, kiedy naraz ukazał się papież w stroju pontyfikalnym i lud błogosławił. Wszystko broń rzuciło i poklękło — Mariusa stracono — a związkowi wyginęli. Kardynał zawiedziony w nadziei zostania papieżem, wrócił do życia skromnego, ale jego zimne serce tak silnie ukochało Anzelma, iż po nim ze smutku umiera.

Z Poznania. — „Roku 1844.“ wyszedł poszyt II. i zawiera: 1) Hoëné Wroński, czyli Messyanizm polsko-francuzki, przez Bronisława Trentowskiego; 2) O miłości ojczyzny, przez Libelta. (Dokończenie); 3) Wyjątek z listu z Paryża, przez W. M.

MODY.

Paryż, dnia 23. Lutego 1844.

Ubiór od niechcenia: Szlafroczek z fijołkowego kaszemiru, podszyty sztepowanym atłasem, z przodu otwarty, spodem suknia z jaconas haftowanego i orzuconego koronkami; obszerne rękawy z wyłogami, podobne wyłogi u stanika otwartego aż do przepaski; półkoszulcze amazońskie ze wstawkami i trzema guzikami; przepaska z szerokiéj wstążki; czepek koronkowy; trzewiki z fijołkowego aksamitu, futrem obramowane.

Ubiór staranniejszy na rano. — Szlafroczek aksamitny, haftowany w kształt fartuszka, u stanika sznury perłowe; kapelusz atłasowy, zdobny rajskim ptakiem i dużą zasłoną; szal długi aksamitny; półotwarta chusteczka z koronką na wstążce sadzoną; podobne mankietki; zarękawek gronostajowy.

Ubiór na wyjście. — Szlafroczek watowany z brunatnego i zielonego pekinu, bardzo wysoko zachodzący; chusteczka i mankietki z haftowanego muślinu, orzucona koronkami; kapelusz aksamitny bez żadnego wystroju, opatrzony sutą zasłoną z czarnych koronek i wstążką pod obwodem; szal długi kaszemirowy i zarękawek z kun.

Ubiór na wieczory. — Suknia z różowéj mory z mantyllą i garnirunkiem koronkowym; gładki stanik sznepowy i krótkie rękawy; siatka z kutasami złotemi na włosach; starożytne klejnoty turkusowe; szal długi gronostajowy. Okrycie po balu: płaszcz hiszpański z czarnego atłasu z czarną koronką, sfałdowaną à la vieille u kaptura i u rękawów.

Strój młodéj panienki. Dwie suknie z poux de soie, ujęte kokardami wstążkowemi; stanik fałdowany, fałdy te z przodu i na ramionach utrzymuje liście róż, w angielskich lokach kwiateczki zaledwie tu i owdzie pokazują się.

Strój narzeczonéj. Suknia z białego lampas (tkanina jedwabna w szerokie lampasy, odmiennego koloru od tła) z półruchem; stanik gładki, na plecach wysoko zachodzący, z przodu zaś w kształt serca otwarty i szeroką koronką oszyty; obcisłe rękawy, szew u nich koronką oszyty, która na ręce spada: wianek w szarfie, stanowiącéj zasłonę.

Stroje na głowy są rozliczne; widzimy piękne stroje ze szneli i satynowanych pereł, z białego szmelcu, który teraz wszedł w modę i bywa używany na wystrój staników z przodu, kapelusików z małym obwodem i siatek. — Angielskie loki noszą teraz krócéj jak w przeszłym roku, bufkowe włosy gładko uczesane zawsze uchodzą za modne.

Objaśnienie ryciny.

1. Strój włosów, kwiaty i złoty łańcuszek,—suknia atłasowa koronką oszyta.
2. Strój głowy z aksamitu i pióra; suknia atłasowa.
3. Surdut z szerokiemi wyłogami; kamizelka z szkockiéj tkaniny, pantalony sukienne.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*